

Podzwonne dla imperium

21 września 2011

„Chodzi o stworzenie takich warunków, w których człowiek nie byłby całkowicie uzależniony od mechanizmów rynku nad którymi nie ma żadnej kontroli.” (prof. Krzysztof Pomian)

Znakomita i znacząca (pod względem spojrzenia na dzisiejszy świat idei, polityki, kulturę itd.) książka J. Żakowskiego pt. „Koniec” (wyd. S-nia Pracy „Polityka”, rok 2006) to cykl jego wywiadów z czołowymi intelektualistami i ludźmi światowego mainstreamu początków XXI wieku, jakich nosi współczesny świat Zachodu. Kogo tu mamy – I. Wallersteina, N. Fergusona, Z. Brzezińskiego, J. Rifkina, G. Sormana, S. Žižka, U. Becka, Ch. Mouffet, D. Osborne’a, a z krajowych „tuzów”: J. Czapińskiego J. Pomiana, Z. Krasnodębskiego i T. Gadacza (no i jeszcze historyk N. Davies – walijski Polak lub polski Walijszyk).

Czym jest owo mityczne Imperium dziś, w epoce globalizacji, powszechności demokracji, wolności i swobody idei, przepływu (i koncentracji) kapitału, praw człowieka, de-ideologizacji i post-polityki? Większość rozmówców red. Żakowskiego mówi (i myśli) w kontekście requiem dla Imperium o roli i znaczeniu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, słabnięciu ich pozycji na światowym orbis terrarum, braku „woli mocy” i zamiaru zajmowania autentycznego przywództwa w demokratycznym świecie jako primus inter pares. Na pewno nie są egzemplifikacją tej postawy prowadzone przez Jankesów współcześnie dwie rujnujące ich finansowo, moralnie, politycznie i prestiżowo wojny (Afganistan i Irak) nie wspominając o interwencjach w Somalii, na Haiti, bombardowaniach Serbii, Sudanu i Libii. To próby wymuszenia respektu, szacunku, prestiżu i adoracji za pomocą siły, agresji oraz przemocy.

„Obecność Ameryki w świecie jest rozumiana w samej Ameryce przede wszystkim jako obecność militarna. Czy to nie jest zdumiewające, że 60 lat po II wojnie światowej wciąż mamy bazy

wojskowe w Niemczech i Japonii? Nasze wojska stacjonują w ponad 100 krajach, w niektórych są to wielkie bazy, w innych wyłącznie zaplecze logistyczne” – mówi A.J. Bacevich, weteran wojny wietnamskiej, absolwent West Point i emerytowany oficer US Army, wykładowca kilku renomowanych uczelni amerykańskich. W sumie owych baz jest na świecie 725 (plus 696 na terenie USA). Nie licząc oczywiście tajnych placówek.

Mityczne Imperium i jego słabnięcie, widomy schyłek jego znaczenia i uwiad intelektualno-ideowy (utrzymują się jego przewagi jedynie w sferze masowej kultury, mediów i bankowości) to nie tylko przypadłości odnoszone do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wydaje się, iż dotyczy to w całości formacji cywilizacyjno-kulturowej zwanej Zachodem.

To Europa Zach., USA, Kanada, Australia i Nowa Zelandia. Europa Zachodnia i USA stanowią swoisty, cywilizacyjno-kulturowy konglomerat (o aspektach politycznych, militarnych – NATO, ekonomicznych nie wspominając), rodzaj duopolu i kulturowego sprzężenia zwrotnego. Łączy je w przestrzeni cywilizacyjno-kulturowej coś na kształt relacji i związków starożytnej Hellady z Rzymem na obszarze Pax Romana.

Dlaczego uważam, iż Imperium słabnie mimo kulturowych, cywilizacyjnych, symbolicznych i medialnie przedstawianych przewag, zwycięstw i popularności? Dlaczego tak mówić i myśleć skoro sieć McDonald's opasała całą kulę ziemską swoim żółtym łukiem (podobnie ma się rzecz z KFC), a buty Nike'a czy Adidasa nosi się nie tylko w Nowym Jorku, Manitobie, Paryżu, Sydney, Warszawie, Moskwie, Madrycie czy Koszycach, ale i w Singapurze, Kalkucie, Mombasie, Rijadzie, Montevideo, Johannesburgu bądź Manili. Przecież satelitarne telewizje anglojęzyczne docierają do każdego miejsca na Ziemi, a medialne show (jak mecze Real – Barcelona, olimpiady, śluby rodzin królewskich z Europy czy wręczenia Oskarów) śledzą w bezpośrednim przekazie miliardy ludzi na świecie? Wydaje się, że dziś cywilizacja zachodnia zdominowała świat może nawet mocniej niż w epoce kolonializmu (pod koniec XIX i na początku

XX wieku), kiedy to np. nad Imperium Brytyjskim nie zachodziło nigdy słońce. Dotyczy to zwłaszcza przestrzeni symbolicznej, wartości, idei, najszerzej pojętej ekonomii, mody, mediów itd. Nawet j. angielski stał się międzynarodową, globalną formą komunikacji.

Po implozji światowego systemu realnego socjalizmu (lub jak uważają niektórzy – komunizmu) mogło się wydawać, iż liberalna demokracja w stylu zachodnim triumfuje bezwzględnie i totalnie na całym świecie. Upadały więc nie tylko zmurszałe systemy rządów mono-partii w Europie Środkowej i Wschodniej, ale z początkiem ostatniej dekady XX wieku demokracja, wolność, liberalizm zatriumfowały nad wieloma reżimami w tzw. III Świecie na pewno nie kwalifikowanymi jako komunistyczne satrapie, a hołubione i popierane (jawnie lub po cichu) przez kraje Zachodu. Często były to przerażające i opresyjne w swej istocie despotie, przewyższające opresyjnością i okrucieństwem – II połowa XX wieku – rzeczywistość krajów realnego socjalizmu w Europie Środkowej (np. Chile, Filipiny, Gwatemala, Zair, Argentyna, Rep. Środkowej Afryki, RPA, Uganda, Indonezja, Salvador).

Idee oświeceniowe – wolność, równość, sprawiedliwość, solidarność, swoboda myśli i idei itd. – zastąpiono po upadku komunizmu jednowymiarowym opisem i interpretacją świata. Hegemonia jednej idei, jednej formy opisu rzeczywistości, dogmatyzacja dyskursu publicznego, doktrynerskie podejście do podstawowych zasad demokracji (przeczących pluralizmowi i multikulturowości), kanonizacja narracji medialnej prędzej czy później prowadzić muszą do zastoju, marazmu intelektualnego, ideowej inercji. Faktem jest, że obecność konkurencyjnego (co by nie powiedzieć o formie tej konkurencji, ale była to jakaś alternatywa i pewnego rodzaju straszak) obozu zwanego komunistycznym – wymusiło wewnętrzne przeobrażenia i zmiany sposobów myślenia wśród elit krajów demokratycznego Zachodu. Stąd m.in. pojawia się idea rooseveltdowskiego „New Dealu” (J.M. Keynes był gorącym zwolennikiem planowania centralnego i

interwencji państwa w gospodarkę celem zapobiegania permanentnym kryzysom gospodarki kapitalistycznej), stąd dynamiczny i permanentny rozwój po II wojnie światowej systemu zwanego „państwem dobrobytu”, stąd postępy demokracji i swobód obywatelskich (w demokratycznej Francji w końcu lat 50-tych policja strzelała jeszcze do strajkujących i demonstrujących obywateli ostrą amunicją) itd., itp.

„Chciwość jest dobra” – ten slogan z filmu „Wal Steet” O. Stone’a egzemplifikujący kapitalnie mentalność amerykańskich neokonserwatystów (czy neoliberalów jak określa się ten nurt filozoficzno-ekonomiczno-społeczny na Starym Kontynencie) jednocześnie oznacza porwanie wszelkich więzów społecznych, deprecjację empatii, podeptanie solidarności między ludzką, niszczenie społeczeństwa jako zbiorowości (człowiek stał się przecież człowiekiem w wyniku m.in. życia zbiorowego, kolektywnego działania i gatunkowej świadomości), ale też jest pochwałą egoizmu, cynizmu, prywaty, partykularyzmu i egocentryzmu. To jest absolutna ilustracja powiedzenia M. Thacher – guru (obok R. Reagana) bezkrytycznych stronników tego sposobu percepcji i interpretacji świata (uwielbienie jakim darzy się w naszym kraju ową filozofię graniczy niekiedy z idolatrią i ma niewątpliwe cechy kultu religijnego) – że „...coś takiego jak społeczeństwo nie istnieje. Istnieją tylko pojedyncze, wolne i przedsiębiorcze jednostki”.

Współcześni ideowi dogmatycy neokonserwatyzmu zza Oceanu to głównie akademicy, którzy związali się politycznie (dwie, trzy dekady temu) z najbardziej zachowawczymi i tradycjonalistycznymi frakcjami Partii Republikańskiej: P. Wolfowitz, W. Kristoll, N. Podhoretz czy F. Krauthammer, a także późniejsi czynni politycy tacy jak D. Cheney, D. Rumsfeld (współpracownicy G.W. Busha jr.) czy R. Pipes. W Europie znaleźli sporo naśladowców – konserwatywna prawica rządzi dziś prawie w całej Unii. Zresztą gdy dekadę wcześniej stery rządów na Starym Kontynencie sprawowała gremialnie lewica także sposób myślenia o gospodarce, sprawach

społecznych nie był alternatywnym dla paradygmatu neoliberalno-konserwatywnego. Genosse der Bosse – jak określano kanclerza Niemiec, G. Schroedera, socjaldemokratę, prominentnego polityka lewicy przełomu wieków w Niemczech i na Starym Kontynencie to adekwatna definicja opisywanego stanu rzeczy. Podobnie ma się rzecz z Brytyjczykiem T. Blairem, Hiszpanem F. Gonzalesem, Portugalczykiem M. Soaresem czy polskimi politykami: A. Kwaśniewskim, W. Cimoszewiczem czy L. Millerem.

Neoliberalna kontrrewolucja oprócz deregulacji rynku (i puszczenia żywiołów rynkowych bez żadnej kontroli czy ograniczeń) spowodowała powstanie tzw. „wyścigu szczurów” zamiast opieki państwa (oraz kolektywnego i solidarnego społeczeństwa), wzmożenie represyjności państwa oraz wzrost moralizmu w życiu publicznym. To wszystko wzmacnia niepewność i poczucie zagrożenia jednostki. „Poczucie braku bezpieczeństwa” – jak mówi L. Wacquant (socjolog amerykański francuskiego pochodzenia) – „wzywa na pomoc państwo, które staje się przede wszystkim karzącym policjantem i napominającym moralistą”. Stąd też możemy obserwować – jako efekt uboczny tych tendencji, choć nie zawsze nie zamierzony – renesans wszelkiego rodzaju konserwatywnych, tradycyjnie nastawionych wierzeń religijnych (lub odżywianie konserwatyzmu i wszelkiej maści ortodoksji w tradycyjnych kościołach i wspólnotach religijnych).

Znakomity polski uczony, baczny obserwator i wnikliwy egzegeta procesów zachodzących we współczesnym świecie prof. Z. Bauman zauważa w tym kontekście, iż powszechna deregulacja rynku („...bezwzględny i nie podlegający dyskusji priorytet ofiarowany irracjonalnej i moralnie ślepej konkurencji rynkowej”) przyznając pierwszeństwo niczym nieskrępowanej swobodzie obrotu kapitału finansowego niszczy podstawową tkankę społeczną, a efekty psychologiczne takiego stanu rzeczy są rujnujące (zarówno w wymiarze indywidualnym jak i zbiorowym). Nawet w tak bogatej Europie – jak się powszechnie na świecie

uważa – są miliony obywateli bez dachy nad głową, ponad 20 mln na stałe wyeksmiutowanych z rynku pracy, ponad 30 mln wegetujących na granicy ubóstwa (a ubóstwo upokarza i degraduje). A o ludziach zatrudnionych na tzw. „umowach śmieciowych” nie pozwalających na godne i normalne życie nie warto nawet już wspominać.

Znakomici przedstawiciele światowego mainstreamu, a nieliczni oponenti tych rozwiązań, mówią wprost o rynkowym fundamentalizmie (J. Stiglitz, G. Soros, G. Kołodko). A fundamentalizm (w tym wypadku to nic innego jak leseferyzm rynkowy) – każdy – jest to przecież wiara w doskonałość, w absolut, wiara w to, że każdy problem musi być rozwiązany. Zakłada on bowiem istnienie autorytetu wyposażonego w wiedzę doskonałą, nawet jeśli ta wiedza nie jest dostępna dla zwykłych śmiertelników. Jak uważa D. Harvey (amerykański antropolog) mamy niezbite dowody na istnienie „masowej interwencji elit biznesu i finansowych grup interesów w kreowaniu idei i ideologii poprzez inwestowanie w centra badawcze, w kształcenie technokratów, w sterowanie mediami”. Typowa propaganda, manipulacja, pranie mózgów. I dlatego m.in. w Waszyngtonie istnieją Cato Institute, American Enterprise Institute czy Heritage Foundation, w Londynie działa Institute of Economic Affairs, Szwecja ma Center of Business and Policies Studies, a Włochy – Istituto Bruno Leoni. W Moskwie istnieje Instytut Gospodarek Okresu Przejściowego, a w Warszawie m.in. Centrum A.Smitha. Wszystkie one propagują i promują określone idee, rozwiązania, interpretacje i sądy, dysponując funduszami, specjalistami, wpływowymi komentatorami i „dojściami” do mediów.

To wszystko świadczy z jednej strony o uwiadzie intelektualnym Zachodu – dogmatyzacja, kanonizacja jednego sposobu myślenia czyli swoiste doktrynerstwo – a to zawsze wiąże się z kryzysem, wycofywaniem się Imperium „do wewnątrz” (przykłady Rzymu czy ZSRR z okresu „breżniewowskiego zastoju” świadczą o tym adekwatnie), a z drugiej – przeczą podstawowym zasadom

Oświecenia z którymi Zachód szedł (i idzie nadal) jak z gałązką oliwną w świat. Gałąź oliwna – w Biblii jak wiemy – z Księgi Rodzaju – jest zwiastunem końca Potopu, świadectwem nowych czasów i odrodzenia, przyniesionym Noemu przez gołębicę. Rozdźwięk między założeniami ideowymi, a czynami (czyli polityczną praktyką) jest jasny i czytelny.

Sytuacja jest wybuchowa i społecznie napięta: Grecja, Francja, Hiszpania, Portugalia, Italia, USA (zamieszki w stanie Wisconsin), Islandia, Anglia. Czy to aby nie jest zwiastun nowych „Wieków Ciemnych”, hobbesowskiej koncepcji „wojen wszystkich ze wszystkimi” lub (jak pyta Brytyjczyk N. Stone) „powrotu do Średniowiecza z jego żebrakami, zarazami, eksplozjami namiętności i przesadami”? Wolność wyboru to przede wszystkim wielość możliwości: pozostaje ona często abstrakcją gdy nie ma alternatywy, gdy następuje skostnienie i dogmatyzacja teorii (a tym samym praktyki), gdy wielość redukujemy do jednej, możliwej koncepcji, a niechciane, niebłagonadiożne idee i sądy – kasujemy, usuwamy w nie-byt. Tym samym wybór zostaje wykastrowany zostając pustym sloganem na potrzeby propagandowe i PR-owskie.

Rewolucje i niepokoje społeczne przetaczające się przez kraje Bliskiego Wschodu i płn. Afryki (Tunezja, Egipt, Jemen, Libia, Bahrajn czy Syria, a także zażegnane na razie w Maroku, Jordanii, Omanie czy Arabii Saudyjskiej) osłabiają wpływy – wszelkie – Zachodu w tym regionie. To dalszy schyłek znaczenia Zachodu na świecie. Jak wieszczyl onegdaj R.Kapuściński kolejna faza procesów dekolonizacyjnych dotyczyła będzie sfery wewnątrz-politycznej, kulturowej, społecznej, gospodarczej w krajach tzw. do niedawna III Światem. Czyżbyśmy byli właśnie tego świadkami?

W wyniku demokratycznych, wolnych wyborów i pluralizmu politycznego jaki ma nastać w krajach regionu dojść do władzy mogą tu najpewniej islamscy fundamentaliści, stanowiący opozycyjną i jedyną wobec dotychczasowych satrapii (popieraną przez Zachód) zorganizowaną siłę. Bo np.

najsilniejsze w regionie, działające w kilku krajach Bractwo Muzułmańskie jest nie tylko ugrupowaniem politycznym, ale też szanowaną organizacją charytatywną, społecznie użyteczną (to wg europejskiej nomenklatury typowa organizacja pozarządowa i na dodatek użyteczna publicznie), wspierającą potrzebujących i wykluczonych: finansowo, logistycznie, moralnie etc. Klasyfikacje takich organizacji jako terrorystycznych nic tu nie zmieniają w społecznym odbiorze społeczeństw regionu. Odnoszą odwrotny skutek. Przykłady takich organizacji i ich społeczne znaczenie (a także Hamasu czy Hezbollahu i ich rola na terenach gdzie działają, np. w Strefie Gazy czy wśród szyitów libańskich) świadczą o tym dobitnie. Jest to zresztą zgodne z zasadami islamu (połączenie wszystkich sfer życia z religią jako istota wiary Proroka Mahometa). A i elementy społeczeństwa obywatelskiego i zbiorowej solidarności (tak bliskie ideom oświeceniowym) można bez trudu znaleźć w istocie wymienionych organizacji.

Dalsze mieszanie się do sytuacji w regionie i jakiegokolwiek próby manipulacji rozwojem demokracji na tym obszarze zgodnie z interesami państw zaliczonych do Imperium jest niedopuszczalne i krótkowzroczne, gdyż alternatywą jest tu tylko chaos taki jak panuje w Iraku lub Afganistanie, gdzie kraj i społeczeństwo (jako zbiorowość) nie funkcjonują, rządy – mimo pozornie demokratycznych wyborów – wyłania się miesiącami jako korupcjogenne układy plemienne, klanowe czy przypadkowych ugrupowań politycznych. Inną możliwością jest pogrążanie się państw w „nie-bycie” jak to ma miejsce w Somalii, Sierra Leone, Południowym Sudanie czy Wybrzeżu Kości Słoniowej. Zachód przez swoje zaangażowanie i politykę jest za to wszystko w jakimś stopniu odpowiedzialny.

Kolejny element potwierdzający prezentowane tu tezy znajdujemy w sierpniowym (2011) numerze „Forbes’a”. Stwierdza się tam ni mniej ni więcej, że „...Nikt już nie chce słuchać płomiennych przemówień B. Obamy o wiarygodności kredytowej USA. Świat oczekuje od prezydenta działań, które nie pozwolą Ameryce

pociągnąć globalnej gospodarki w przepaść”. To znamieny i znaczący komentarz oddający (przynajmniej w części) sytuację więdnącego – tym razem gospodarczo (m.in. w wyniku wspomnianej monokultury myśli i dogmatyzacji teorii ekonomicznych w ostatnich dekadach) – Imperium. Zachód przestał być rzecznikiem i promotorem tych idei i rozwiązań, które sam w ostatnim półwieczu XX wieku wpisał na swoje sztandary. Określona polityka gospodarcza i monokultura ideowa, a także serwilizm medialnego mainstreamu doprowadziły Imperium na skraj bankructwa ekonomicznego. Świat widzi, że inni (Chiny, Indie, Brazylia czy Rosja) mimo niedostatków liberalnej demokracji w stylu zachodnim lepiej dają sobie radę w dzisiejszym świecie.

A co w owym kontekście z przestrzenią tak hołubionych przez Zachód podstawowych „praw człowieka”?

Jak monokultura neoliberalnej myśli wpłynęła np. na ewolucję interpretacji i praktykę takich zasad jak prawo „do dobrego życia”, prawa socjalne, powszechność ochrony zdrowia, dostępność do nauki czy uznanie powszechności podstawowych praw ekonomicznych (prawo do pracy, prawa solidarnościowe, gwarancje godnego życia itd.) widać w dzisiejszej rzeczywistości Zachodu jak na dłoni. Nie warto już wspominać o zakazie stosowania tortur, nieludzkiego i poniżającego traktowania więźniów, niewolnictwie czy poddaństwie. Patriot Act (w USA) i tzw. „wojna z terroryzmem” są tu znamienymi przykładami – niechlubnym przykładem jest tu również Polska i casus ośrodka w Szymanach – podobnie jak niewolnicza praca sezonowych robotników na plantacjach w Hiszpanii, Italii czy Portugalii.

A są to przecież według powszechnie uznanych kanonów podstawowe prawa człowieka, zapisane w szanowanych i uznanych na arenie międzynarodowej dokumentach, będące nośnikiem demokracji, wolności i godności człowieka, promowane usilnie przez kulturę Zachodu od prezydentury J. Cartera.

Imperium wędnie, kurczy się, marnieje, zwija, mizernieje. Mimo pozornych sukcesów, mimo spektakularnych przewag i blichtru medialnego przekazu. Świat stając się coraz bardziej multilateralny i wielobiegunowy wraca do stanu sprzed epoki kolonialnej, kiedy to największymi gospodarkami świata były Indie i Chiny (a także niezwykle oryginalnymi centrami kultury i ośrodkami tworzenia się specyficznych cywilizacji, promieniującymi swymi dokonaniami na tereny nie tylko sąsiednie, ale też i na obszary absolutnie nie mogące być zaliczone do autochtonicznych miejsc pochodzenia kultur chińskiej i hinduskiej – jak np. Archipelag Sundajski, Indochiny, wschodnia Afryka, środkowa Azja, Filipiny czy Malaje). Taki jest paradygmat współczesności promowanej (do niedawna) przez Zachód. Choć może nie o takie efekty i wymiar chodziło owym promotorom.

Prof. G. Kołodko w swoim światowej sławy bestsellerze („Wirujący świat”, wyd. Prószyński i s-ka) celnie zauważa w końcowym fragmencie książki, iż nowy światowy ład, ład globalny i zgodny z ewolucją kultury „...Nie może być [...] skrojony na zachodnią modłę lecz musi brać pod uwagę pozycje krajów Wschodu i cele jakie im przyświecają. Z tej perspektywy nie sposób przeceniać roli Chin w wypracowywaniu nowego modelu instytucjonalnego. Radzić trzeba UE i USA oraz Japonii (które wciąż jeszcze wytwarzają w sumie połowę światowej produkcji) aby we wszystkich istotnych sprawach konsultowały się z Chinami, także w tych nie dotyczących ich bezpośrednio. Wtedy będzie większa szansa, że z czasem – kiedy chińskie będzie na wierzchu – zechcą one konsultować się z innymi we wspólnych w końcu sprawach”.

Kołodko przestrzega przed zagubieniem się w drodze ku wspólnemu wielokulturowemu i multi-ideowemu łaadowi światowemu. Ani ONZ, ani tym bardziej Stany Zjednoczone (jako faktyczne lub uzurpatorskie clou cywilizacji zachodniej) nie dorosły do roli przewodnika nowego systemu światowego, który wyłania się na naszych oczach. Chaos panujący w dzisiejszym świecie nikomu

nie służy (oprócz amorficznego kapitału).

Świat jest bowiem większy (i inny) niż Zachód. Bo taki po prostu jest. Zawsze był i nadal taki będzie.

Autor: Ryszard S. Czarnecki

Źródło: [Lewica](#)